

SZCZEPAN TWARDOCH

Historia prowincjonalna

Mówią, że chwilę przed śmiercią całe życie przelatuje przed oczami. Czyżby ten wspomnieniowy pokaz miał być nieuchronnym zwiastunem śmierci? Widzisz wszystko, co przeżyłeś, zatem – nie ma siły, nic już nie poradzisz – gotuj się na śmierć. Leżę właśnie na deskach piekielnej maszyny. Dłonie związali mi na plecach, a stary Nicolae zamyka na mojej szyi uchwyt z wyciętych desek. Kilkanaście stóp nade mną wisi trójkątne ostrze. Nóż wygląda na tępy. I przelatuje mi przed oczami całe życie, tak jak je wiodłem. Przez większą część z pięćdziesięciu siedmiu lat – bardzo powoli i spokojnie. W ostatnim roku przyspieszyło raptownie. W sumie – to było dobre życie.

Większość tego, co ważne w ciągu tych pięćdziesięciu siedmiu lat, działo się w Sachsenburgu. Z miasteczkiem w Transylwanii los związał mnie z całych sił. Moi przodkowie przybyli do tej egzotycznej krainy z Saksonii dobre siedemset lat temu. Przybyli i założyli swoje miasto, wolne miasto Sachsenburg. Żenili się między sobą albo z innymi transylwańskimi Sasami. Dlatego zachowali przez długi czas swój język i kulturę. Język niezrozumiały dla wiedeńczyka – starożytna niemczyzna sprzed wieków, zakonserwowana w siedmiogrodzkim powietrzu jak mumia w zimnych podziemiach klasztoru. Siedmiogród jest uboczem Europy, zaś Sachsenburg leży na uboczu Siedmiogrodu. Niewiele się tu zmienia. Gdy trzysta lat temu Luter ogłosił swoje tezy i siedmiogrodzcy Sasi przyjęli herezję, w Sachsenburgu o tej nowince usłyszano z kilkuletnim opóźnieniem. Nie zrobiła na mieszkańcach większego wrażenia – mieli przecież swój gotycki kościół i specjalnym przywilejem zagwarantowanego proboszcza wywodzącego się zawsze z Sachsenburga. Nie dotknęły miasta zawieruchy, przetaczające się przez Siedmiogród od stuleci – ominęli je Turcy, Madziarzy, Szeklerzy, Polacy, Austriacy. Nie interesowało Ludwika Węgierskiego, za nic miał je Hunyady, nie interesowało Warneńczyka, nie słyszał o nim żaden z rozlicznych Rakocznych, ani Franciszek II, walczący wraz ze swymi kurucami przeciwko Wiedniowi, ani ten, co półtora wieku temu spustoszył Polskę. Wzgardziły nim tatarskie czambuły, wojska Lubomirskiego, austriaccy grenadierzy, tureccy janczary, węgierscy hajducy.

Otoczały Sachsenburg prastare mury – a i większość pięknych, murowanych domów również miała po kilkaset lat. Zaraz przy niewielkim ryneczku wyrastała duma i chluba sachsenburczyków – kościół farny. Zbudował go w połowie czternastego wieku pewien architekt z Pragi. Świątynia była nie tylko domem bożym, ale i miejscem, w którym tętniło towarzyskie i administracyjne życie miasta. Tutaj, od wieków w tych samych stallach, gromadzili się na posiedzenie rajcy miejscy. Tutaj swe spotkania odbywały trzy sachsenburskie cechy – dwa tradycyjne, kuśnierzy i rzeźników, i trzeci – ślusarski. Ślusarzy nie uważano za poważny cech – ich organizacja miała przecież zaledwie sto pięćdziesiąt lat. Półtora wieku w Sachsenburgu to niezbyt dużo. Nawet, jak się wydawało, ludzie tutaj dłużej żyli – na ławkach na rynku zawsze można było spotkać starców, którzy opowiadali o dawnych, dobrych czasach, w których wszystko było właściwe i na swoim miejscu. Nie dochodziło zapewne wtedy do takich bluźnierczych bezceństw, jak na przykład skrócenie obrad cechów o kwadrans.

Sachsenburczycy, mimo że mieszkali w mieście, w większości byli rolnikami. Na łagodnych, urodzajnych i obficie oświetlonych przez słońce stokach okolicznych wzgórz rozpościerały się rozległe pola pszenicy. Niedaleko mieściła się winnica, w której uprawiano

tutejszą odmianę winnego krzewu, dającego owoce małe, ciemnożółte i o grubej skórce, lecz o miąższu tak słodkim, jakby całe ciepło wszystkich pogodnych dni skupiło się w żółtawych winogronach. Rodzina Weinigerów od pokoleń robiła z nich białe, lekkie wino – oprócz pszenicznego piwa podstawowy napitek sachsenburczyków. Mieszczanie gardzili „zagranicznymi wymysłami” w postaci trunków innych niż sachsenburskie wino, sachsenburskie piwo i okowita, pędzona z pszenicznej brzezki. W uroczystych chwilach za odpowiednie uznawano jeszcze miody pitne, sycone przez rumuńskich chłopów z pobliskiej wioski. Mieszkańców Sachsenburg miał sześciuset.

Liczba ta utrzymywała się na podobnym poziomie od kilku wieków, na co wskazywały księgi parafialne. Występowała pewna migracja – duchy niespokojne, dla których klimat kamiennych domków i ogromnych pól zdawał się zbyt ciasny, wyjeżdżały. Różnie – czasem za chlebem, czasem za przygodą, czasem na wojnę, a czasem za kobietą. Prawie nigdy nie wracali. Gdy udało im się do czegoś dojść, sachsenburczycy z dumą podkreślali swoje z nimi powinowactwo – „patrzcież no, kumie, pułkownikiem w cesarskiej armii ów syn od Reinigerów został, znać dobrą sachsenburską krew i kindersztubę”. Jednak gdy emigranci nie dochodzili do niczego lub zostawali znanymi przestępcami, jak bandyta Rohmer, zawsze twierdzono, iż „od razu było wiadomo, że ta kanalia w Sachsenburgu miejsca nie zagrzeje, nie pasował on tutaj, nic z nami nie miał wspólnego...”

Sachsenburscy kawalerowie żenili się czasem z wołoskimi dziewczętami, smagłymi, o szerokich biodrach. Rodziców nie cieszyły te małżeństwa zbyt, bo dziewczyny bywały nieco nieokrzesane i najczęściej ubogie, ale zdawano sobie sprawę, że świeża krew i zdrowe, chłopskie łona dobrze zrobią zamkniętej społeczności. Ich dzieci były zawsze piękne. Sachsenburskie dziewczyny też czasem wychodziły za kogoś spoza miasta – jednak gdy wybrankiem miał być Madziar czy Rumun, musiały z nim uciec, bo rodzice nie pozwoliłoby na taki mezalians. Co innego, gdy narzeczony był węgierskim szlachcicem – takim zięciem nawet się szczycono, lecz trzeba przyznać, że długowąsi i porywcy madziarscy rycerze rzadko interesowali się grubokościstymi saskimi dziewczętami.

Oprócz rolników, nielicznych, zrzeszonych w trzech cechach rzemieślników i paru kupców w Sachsenburgu mieszkała również miejscowa elita w osobach: sędziego, burmistrza, proboszcza z wikarymi, medyka, dwóch nauczycieli, dwóch adwokatów, prokuratora i radcy prawnego. A poza nimi wszystkimi mieszkała też w Sachsenburgu moja rodzina.

Musicie wiedzieć, że tutaj urodzenie decyduje o wszystkim. Bóg oznajmia nam swoją wolę, wybierając dla nas rodziców – skoro ktoś urodził się chłopskim synem, pisane jest mu orać pole, a jeżeli ktoś rodzi się w asyście marszałków dworu i już w kołysce dostaje tytuł pułkownika, to nie ma wyjścia – musi być cesarzem. Jakiż chaos zapanowałby na świecie, gdyby nikt nie wiedział, jakie jest jego powołanie w życiu. Chłopski syn zechciałby być królem, syn hrabiego parobkiem, a Żydek, syn subiekta, rozpocząłby karierę oficerską! Jakież zamieszanie – jak tu żyć, rodzisz się, dorastasz, nie wiedząc zupełnie, czy dane ci będzie pasać świnie czy wygrywać bitwy.

W Sachsenburgu mało kto odważył się naruszyć ów boży porządek. Mojej rodziny dotyczyło to jeszcze bardziej niż innych. Nazywam się Antoni Richtmeister i jestem miejskim katem. Mój ojciec, również Antoni, był katem miasta przez czterdzieści dwa lata. Ja swoje obowiązki pełnię od lat dwunastu. Studiując księgi parafialne, uprzejmie udostępnione mi przez księdza, znalazłem pierwszego Richtmeistera, również Antoniego, który został katem Sachsenburga w roku 1376. Terminował u katów w Pradze i w Krakowie, coś skłoniło go jednak do przyjazdu do tej zabitej deskami dziury w Siedmiogrodzie. Od tego czasu kat Sachsenburga dziedziczy zarówno swoją profesję, jak i imię po ojcu.

Mówili mi kiedyś, że przed śmiercią całe życie przelatuje człowiekowi przed oczyma. Bzdura wierutna, od śmierci dzieli mnie już tylko parę chwil, a nie mam żadnych wizji. Choć droga, odbywana na drabiniastym wozie z miejskiego więzienia na szafot, na którym czeka już to wielkie, ponure kacisko z długim mieczem, jest zapewne dobrym momentem na pewnego rodzaju podsumowanie własnego życia. Bo jak długo można mieć nadzieję? Nie przyjedzie już kawaleria pod rewolucyjnym sztandarem, dragoni nie rozgonią tego reakcyjnego motłochu. Umieram, tutaj i teraz. Już niewiele kroków dzieli mnie od pieńka, na którym położę moją młodą głowę. Gdybym był wierzący, zapewne mówiłbym teraz pacierz. Ja jednak księdza posłałem w diabły – głupim aktem tchórzostwa nie zniszczę świadectwa, jakie dawałem przez całe życie. Nie modłę się więc. Wspominam tylko to, co przeżyłem – rzeczy dobre i złe. To taka moja świecka modlitwa, modlitwa do ludzkiego jestestwa, ludzkiej kondycji i humanistycznej wrażliwości, której to ścieżki dziwnym trafem w końcu umieściły mnie na tym wozie.

Wspominam więc dzieciństwo w rodzinnym pałacu, nudne i przygnębiające. Zubożała szlachta – czy jest coś gorszego? Wybuchowa mieszanka wybuchających ambicji z przyziemnymi możliwościami... Ojciec, sprowadzający do domu coraz to nowe dziwki, które matka, chcąc nie chcąc, tolerowała – więc zasypialiśmy, słysząc zza ściany pijackie śpiewy, jęki i westchnienia. Mój ojciec – największy znany mi podlec – doprowadził matkę do rozpacz, upadku i w końcu przedwczesnej śmierci. Moi bracia – dwóch rosłych przygłupów, zainteresowanych jedynie trzema dziurami – babskim kpm, szyjką flaszki i lufą pistoletu. I w tej prowincjonalnej, polskiej z pochodzenia rodzinie – ja. Herman Aleksander Zieleniecki.

Pałac rodzinny mieścił się na Słowacji, niedaleko Nitry – ojciec kupił go od swojego kuzyna, który z kolei dostał pałac w spadku po jakiejś dalekiej ciotce Węgierce. W rodzinnej Małopolsce nigdy nie byłem. Gdy miałem lat dwanaście, oddano mnie do świetnego gimnazjum w Wiedniu, klasycznej szkoły z internatem dla szlacheckich synów. W szkole mówiło się po niemiecku albo po łacinie – kolegów miałem Niemców, nie licząc dwóch Madziarów i jednego Polaka, więc polskiego zapomniałem, nie ubolewając nad tym zbyt. Ojciec wykupił mi patent – pisałem się zatem Herman Alexander von Zieleniecky. Moi dwaj przygłupi bracia nie żyją – Andrzej zastrzelił się przez przypadek przy czyszczeniu pistoletu, Adam zaś nie mógł znieść samotności po śmierci brata, wyjechał do Ameryki, gdzie wstąpił do wojska i natychmiast zginął od angielskiej kuli. Po śmierci braci i matki ojciec zapijał się coraz bardziej, rznął coraz droższe panienki, by w końcu zbankrutować i umrzeć w przytułku. Zostałem w Wiedniu z tytułem – Hermann Alexander Freiherr von Zieleniecky – lecz bez środków do życia.

Cóż za irracjonalna sytuacja – niespokojne czasy (miało się już powoli ku rewolucji), pozbawiony majątku młodzieniec z dobrym nazwiskiem, tytułem oraz wielkimi ambicjami, na których realizację nie stawało pieniędzy. Ja jednak odkryłem, dlaczego raczej żyć wolę, nawet w kłopotach, zamiast palnąć sobie w łeb. Chciałem żyć dla Idei!

Miałem to szczęście, że poznałem wtedy najważniejsze osoby francuskiej wielkiej emigracji. Tytani umysłu, których zły Bourbon wygnał z Francji, znaleźli tutaj spokojną przystań, czyniąc tym samym z naszego miasta umysłową stolicę Europy. Kogóż tam nie było: Voltaire, Diderot, Rousseau, baron d'Holbach... Do Wiednia przyjechał też brzydki, acz całkiem towarzyski filozof z Królewca, Kant, którego z uniwersyteckiej katedry wygryzł jakiś reakcjonista. To oni zaszczepili mi miłość dla szczytnych idei Postępu, Wolności, Równości, Wolnomyślicielstwa i Humanizmu. Gdy tylko lud stolicy dojrzał do rewolucji, zaangażowałem się w nią z całych sił. Zrzekłem się tytułu i „von” sprzed nazwiska, szlacheckie nazwisko zmieniłem na Grüner – co przydało mi się również o tyle, że generalnie nastrój wśród rewolucjonistów był narodowy. Zostałem więc Hermanem Grunerem. Poprowadziłem na ulicę grupę rewolucyjną z mojego kwartału ulic, w którym agitowałem jako działacz za cesarstwa. To były piękne dni!

Potem, gdy Kleiderpeter zdobył władzę dyktatora, wycofałem się, zniechęcony. Znałem go przecież wcześniej – był, tak jak ja, żarliwym przeciwnikiem kary śmierci! Oczywiście, w pierwszym etapie rewolucji zabijanie wrogów politycznych, kontrrewolucjonistów było konieczne – bez tego nie dałoby się pokonać starego systemu. Lecz czyniliśmy to, by w końcu, gdy rewolucja zwycięży, znieść karę śmierci! Tymczasem Kleiderpeter zabijanie ludzi w winnicy Derflingen uczynił sensem i podstawą naszej Republiki. Sensem, gdyż większość instytucji państwa miała swój znaczący udział w organizowaniu ogromnej maszyny terroru. A podstawę, ponieważ głównym źródłem przychodów republiki były konfiskaty mienia osób skazanych na śmierć, gdyż cały majątek w takim przypadku przechodził na rzecz Skarbu Republiki. Dzięki temu z każdym ścietym, czy był on kontrrewolucjonistą czy nie, tworzyliśmy sobie zastępy młodych wrogów Republiki, pozostawiając rzesze sierot, pozbawionych nie tylko ojca, ale i majątku i wszelkich środków do życia.

Zająłem się w tym czasie pracą – pisałem wielką rozprawę „O równości”, w której dwa rozdziały poświęciłem walce z karą śmierci. Niestety, Schwarzimmer działał i musiałem wykreślić wszystkie argumenty przeciwko karze śmierci wykonywanej w Republice, pozostawiając jedynie te, które uderzały w prawny ustrój Cesarstwa. Mimo to uważałem wtedy, że polityczna rzeczywistość zmieniła się na lepsze – republika zawsze jest lepsza od cesarstwa. Lepsza, gdyż poddani stali się w niej obywatelami.

Oczywiście nie zajmowałem się tylko polityką. Rewolucyjne środowisko związane było dosyć ściśle z bohemą artystyczną stolicy. Za rządów Kleiderpetera wszystko nieco przygasło, ale zarówno za cesarstwa, jak i po zamachu stanu, gdy władzę objął Esterhazy, życie towarzyskie kwitło. Za Esterhazy ego było najpiękniej – gdyż wszystko było wolno. Całe tygodnie spędzaliśmy z Mozartem w pięknych klubach. Poznałem Goethego, który uznał, że z wybuchem Rewolucji to Wiedeń stał się stolicą Niemiec, i wyniósł się z Weimaru nad Dunaj. Urzynałem się do nieprzytomności z moim przyjacielem Pavelką, wesołym Czechem z Pragi. Odwiedzaliśmy burdele – a burdele za Esterhazy’ego wspięły się na absolutne wyżyny! Nie były to już te smutne, prowadzone przez katów przybytki z czasów cesarstwa, w których siedziało parę brudnych Cyganek, ani nielegalne lupanary z czasów terroru. Burdele za Esterhazy’ego często mieściły się w pałacach, nabytych od zubożałej szlachty albo wykupione za bezcen z konfiskat. Miały swoje specjalności zupełnie jak restauracje – w jednym były same brunetki, drugi miał same Francuzki, w innym można było zakosztować miłości z pięknym jak Amor efebem (tam nie chodziliśmy, jakoś zawsze bliższe nam były kobiece kształty), gdzie indziej dziewczęta specjalizowały się w konkretnych miłosnych sztukach (jak chociażby ten z Francuzkami...). Byliśmy nawet kilka razy w domu publicznym „U Markiza”...

Mimo że te wizyty wspominam z przyjemnością, to jednak wstydzę się naszego ówczesnego zamięłowania do prostytucji. Twierdziliśmy wtedy, że powinny powstać burdele dla pań, gdyż miłość za pieniądze jest szlachetniejsza od tej „przyzwoitej”, tak jak uczciwy zakup szlachetniejszy jest od wyłudzenia. Dopiero pewna dama otworzyła mi oczy na godny pożałowania los owych płatnych dziewcząt! Dlatego właśnie wstydzę się owych wizyt. Jestem zwolennikiem miłości wolnej, nieokielznanej normami prawnymi, religijnymi czy towarzyskimi. Nie widziałbym również niczego zdrożnego w braniu pieniędzy za miłość. Jednak tutaj model idealny przegrał z praktyką, bo w praktyce te biedne kobiety są bezwzględnie wykorzystywane przez swych alfonsów. Jako rewolucjonista zawsze jestem po stronie słabszych – czy to chłopca w konflikcie z panem, robotnika w konflikcie z właścicielem manufaktury, czy wreszcie prostytutki z właścicielem burdelu.

Gdy upadł Kleiderpeter, ujrzałem nagle, że towarzyskie i birbanckie przyjemności przysłoniły mi cel mojego życia – walkę dla Idei. Pewnej pijackiej nocy, spędzanej w towarzystwie Pavelki i Mozarta, wyznałem, że pragnę wyjechać ze stolicy i poświęcić się

krzewieniu postępu na prowincji. Moi przyjaciele wyśmiali mnie, jednak ich kpiny przyniosły odwrotny do zamierzonego skutek. Gdyby nie drwili ze mnie tak uparcie, następnego dnia pewnie nie pamiętałbym nawet o swoim zamiarze. Jednak urażony honor (ach, te szlacheckie przyzwyczajenia, gdybym mógł pozbyć się ich tak łatwo jak nazwiska...) kazał mi z samego rana udać się do dawnego znajomego, zajmującego teraz ważne stanowisko w rządzie. Tydzień później dostałem to, com chciałem: komisarski przydział na prowincję. Najbardziej chyba zabita deskami dziura w Republice – małe, saskie miasteczko w Siedmiogrodzie. Cóż było robić, decyzja podjęta.

Przez trzy dni się pakowałem – wziąłem przede wszystkim książki, całe trzy wielkie skrzynie książek, odgadując, że na miejscu nowej lektury nie znajdę. Jeszcze w stolicy zamówiłem cotygodniową dostawę kilku stołecznych gazet, nawet tego rojalistycznego szmatławca, „Pro Fide et Lege”. Na poczcie nieco sarkali, ale pismo z podpisem mego wpływowego przyjaciela zamknęło im gęby. Gdy skończyłem, miałem trzy kufry z książkami, dwa wielkie z ubraniami i jeden z wszelkimi niezbędnymi do życia utensyliami. Mój protektor zapewnił mi dyliżans do dyspozycji – zapakowałem swój dobytek, czując się jak Rzymianin – *omnia meo mecum porto* – zabrałem ze sobą Pavelkę, który postanowił mnie odprowadzić, i wyruszyłem do Sachsenburga.

Jak wygląda mój dzień? Wstaję o piątej rano. Żona wstaje dziesięć minut przede mną i szykuje mi posiłek. Odmawiamy modlitwę i śniadamy razem, po czym razem wychodzimy zając się inwentarzem. W oborze, chlewie i kurniku mijają mi dwie godziny. O siódmej obmywam się i wychodzę do baszty. Sachsenburg jest małą miejscowością, więc jako kat jestem również nadzorcą niewielkiego więzienia, które mieści się w podziemiach wieży bramnej. Zazwyczaj nie siedzi tam więcej niż pięciu czy sześciu więźniów, w większości posadzonych na kilka dni za niewielkie winy – długi, burdy czy małe kradzieże. Jest też cela, w której siedzi Hoimar – zabójca trzech ludzi, ułaskawiony aktem cesarskim i skazany na dożywotnią więź. Siedzi w swojej celi dłużej, niż ja chodzę po świecie. Dawno już zwariował, ale opowiada ciekawe historie. Więźniów pilnuje dwóch strażników, których jestem przełożonym. Doglądam ich pracy, sprawdzam, czy wszystko w porządku, i rozpoczynają się moje codzienne obowiązki. Asystuję przy sprawach w sądzie jako woźny, prowadzę przesłuchania, doglądam pracy drabów miejskich. Wracam do domu na obiad. Po obiedzie zbieram czynsz od przekupek z targu, jeżeli dzień jest targowy, obchodzę mury miasta i wracam do siebie do domu, gdzie zajmuję się domem i rodziną. Kładę się spać równo o dziewiątej, gdy bije zegar na kościelnej wieży.

Praca nie jest ciężka, acz odpowiedzialna. Zapewnia mi dostatnie życie – pensja płacona jest żywą, złotą gotowizną raz w miesiącu. Dodatkowo mam prawo do beczki piwa z pierwszego warzenia i trzech butelek wina z winnicy. W skali Sachsenburga jestem człowiekiem dość zamożnym. Gdybym był rzemieślnikiem, byłbym szanowanym obywatelem miasta. Mam jeszcze jedno źródło dochodu, lecz o tym później.

Jednak jestem katem. To sprawia, że żyję zupełnie inaczej niż pozostali. Nie mam prawa do mieszkania wewnątrz murów miasta. Mój dom, zwany od wieków Domem Kata, mieści się pięćdziesiąt kroków od Bramy Wiedeńskiej, za murami. Nie utrzymuję towarzyskich kontaktów z nikim w mieście. Nikt mi się nie kłania. Nie zaprasza się mnie na żadne uroczystości. Nie mam prawa przychodzić na sumę, dlatego w niedzielę chodzimy do kościoła na jutrznię. Nie mogę w kościele stać w głównej nawie, stoję schowany w najdalszym rogu. Do komunii przystępuję ostatni, gdy wszyscy ludzie odejdą już od balasek prezbiterium. Nikt za mojego syna nie wyda córki – zwyczajem jest, że kaci Sachsenburga biorą sobie za żony Wołoszki, Madziarki albo, jak się poszczęści, Saksonki z innych miast (jak moja matka, Eva, z domu Birken). Ja ożeniłem się z córką kowala – Szeklera.

Podobno mój dziad Antoni zbuntował się kiedyś i przyszedł na sumę. Gdy przez kościół przeszedł szmer oburzenia, mój krewki przodek zaczął argumentować:

Dlaczego nikt nie wyrzuca z kościoła żołnierzy? Żołnierz zabija niewinnych – kat zbrodniarzy. Żołnierz zabija bez sądu – kat tylko tych, których wcześniej osądzono. Żołnierz zabiera matkom synów, żonom mężów i dzieciom ojców, gdy kat ratuje wszystkich przed przestępcami. Tymczasem żołnierzy otacza się powszechnym szacunkiem, kat nawet nie jest do końca człowiekiem. Dlaczego to w stępionych sztychach katowskich mieczy przewierca się otwory, by nie dało się ich ponownie zaostrzyć – co chronić ma przed użyciem broni tak niegodnie splamionej w honorowej walce? Dziadek Antoni twierdził, że to raczej miecze żołnierzy powinno się znakować, by nikt nie ważył się przeznaczyć ostrza splamionego krwią niewinnych do celu tak zacnego, jakim jest ścięcie zbrodniarza. Z czasem dziadkowi przeszła ochota do kłótni, opowiedział mi jednak, gdy byłem młodzieńcem, o swych wątpliwościach.

Ja nigdy ich nie podzielałem. Po pierwsze, skoro urodziłem się jako syn kata, to znaczy, że Bóg chciał, bym był w tym życiu właśnie katem, nikiem innym. Mój teść, kowal, powiedział mi kiedyś, że zarówno jego ojciec, jak i dziadek, i wszyscy przodkowie, przed porannym rozpaleniem kuźni trzykrotnie spluwali w palenisko. Jako chłopiec śmiał się z tego zwyczaju, lecz gdy dorósł, pojął, że to, co trwa od pokoleń, można zmienić dopiero, gdy zrozumie się sens. Zanim usunie się część jakiegoś mechanizmu, najpierw należałoby zrozumieć zasadę jego działania i znaczenie wszystkich elementów. Dlatego kowal z pokorą spluwał trzykrotnie w palenisko.

Ja z pokorą odnoszę się do wyroków Opatrzności – Pan chciał, bym był katem, dlatego narodziłem się jako syn kata. Z pokorą również odnoszę się do towarzyskiego ostracyzmu, jakiemu poddana jest moja profesja. Tutaj unoszę się pychą, ale o tym też za chwilę.

Pytają mnie czasem różni obwiesie – bo przecież nikt porządny ze mną nie rozmawia – jak to jest na oczach tłumu zabić, zamęczyć człowieka. Jako kat Sachsenburga ściałem mieczem dziewięciu ludzi, siedmiu powiesiłem, trzech łamałem kołem, jednego zbrodniarza zaś poćwiartowałem żywcem. W Sachsenburgu egzekucja zdarza się na tyle rzadko, że zawsze jest wielkim wydarzeniem. Szafot budujemy razem z drabami miejskimi na rynku. Wkładam wtedy mój czerwony kaptur i staję na szafocie na długo zanim przywiozą skazańca. To ciężkie zadanie – stać przez kilka godzin w bezruchu, często w upale lub w deszczu, z rękami wspartymi na głowicy miecza. Jednak wiem, jak ważna jest wtedy moja postawa. Oto jestem żywym posągiem – całym sobą oddaję Sprawiedliwość, jej Karzące Ramię. Jestem groźbą dla grzesznych, gwarantem pokoju dla sprawiedliwych. Na moim mieczu, na wewnętrznym płazie wygrawerowano szubienicę, na zewnętrznym zaś dwugłowego, cesarskiego orła. Właśnie cesarskiego orła, nie herb Sachsenburga. Gdy ściągam mój miecz ze ściany, przestaję być sachsenburskim katem, jestem zbrojnym ramieniem Cesarstwa. Państwo zaś opiera się na Bogu – nikt inny, jak tylko Ojciec Święty, Namiestnik Chrystusa, wkładając cesarzowi na skronie rzymską koronę, przekazuje mu boskie namaszczenie władzy. Cesarz jest zastępcą Boga na ziemi, ja zaś jego karzącym aniołem.

Gdy odbywałem czeladniczą podróż, terminowałem przez pół roku w Gdańsku. Tam pewien niderlandzki żeglarz wytatuował mi na piersi anioła z mieczem ognistym, wyganiającym Adama i Ewę z Raju. Artysta był zręczny i anioł ma moje rysy.

A potem przy wrzaskach tłumu skazaniec wstępuje na szafot. Towarzyszy mu ksiądz i któryś z Braci św. Pawła ku Wiecznej Pomocy Skazanym. Należą do bractwa najzacniejsi z sachsenburczyków, jednak przynależnością nie można się chwalić. Zajmują się wszelką pomocą skazanym, duchową i materialną, towarzyszą im do ostatniej chwili, przebrani w białe szaty z kapturami, by nikt ich nie rozpoznał, po czym pokrywają koszta pogrzebu. To najdoskonalsze ćwiczenie miłosierdzia – kochać zbrodniarza idącego na śmierć, bez emocjonalnej egzaltacji. Jednak na ostatnim stopniu ksiądz i inni odstępują. Przedemną skazaniec staje sam. Przed Bogiem zawsze stajemy sami, a w tym momencie reprezentuję tutaj boską Sprawiedliwość. Jeżeli skazany ma być ścięty, to kładę jego głowę na pniu, sędzia

odczytuje wyrok, ja zaś podnoszę miecz i tnę. Gdy trzeba – ćwiartuję ciało. Gdy każą – rozkrzyżowuję człowieka na wielkim kole. Biorę żelazny drąg, łamię członki i zaplatam je na szprychy. Tak umęczonego zbrodniarza podnoszę i ukazuję tłumowi.

Obwiesie pytają – co wtedy czuję? A ja odpowiadam – nic szczególnego. Czyżbym był bestią? Mało kto wytrzyma widok człowieka łamanego kołem, nawet gdy skazany jest najbardziej zatwardziałym zbrodniarzem. Nawet synowie zamordowanych odwracają wzrok od nawleczonego na koło mordercy ich rodzica. Tymczasem ja łamię jego kości i nie czuję nic? Czyżbym był potworem? Ależ nie – mam żonę, którą miłuję, mam dzieci, które kocham. Gdy dziecko choruje, martwię się. Ba – smucę się, gdy widzę, jak dzieci męczą kota, przywiązując mu do ogona kamienie, by biedny zagonił się na śmierć. Tymczasem śmierć człowieka nie napawa mnie odrazą? Gdybym stał tam, pośród widowni, czułbym tak jak inni ludzie.

Jednak po tej stronie miecza nie jestem już człowiekiem. Reprezentuję Boga i Cesarstwo. Nasz Pan to nie tylko Bóg doskonale miłosierny – jest również Dominus Sabbaoth, Panem Zastępów. Jestem jego najpodlejszym, najniższym, najgorszym, najbardziej niegodnym sługą. To ostrzem mojego miecza wyraża się wola Cesarza. Jestem jak obozowe ciury w wojsku. Nikt ich nie poważa, lecz bez nich nie trzeba wroga, bo armia padnie pokonana po dniu marszu, gdy nie będzie komu założyć obozu, rozbić namiotów, przygotować strawy... Tak jest z katem. Na moich barkach spoczywa ciężar społeczeństwa i państwa. Gdy nas zabraknie, społeczeństwo upadnie. Ciurów nikt nie odznacza, nie zapisuje się ich w kronikach, nie zaprasza na bale, nie daje się im orderów ani nadań ziemskich. Z tego samego powodu kat nie jest dobrze widziany w towarzystwie. Nie żal mi ziemskich zaszczytów. Lepiej być poniżonym po tej stronie śmierci.

A zatem, łamiąc kołem, niczego nie czuję? Nie waham się, nie mam wątpliwości – to pewne. Czuję jednak czasem, gdy wszystko zrobię dobrze, rodzaj zawodowej satysfakcji – „nikt nie łamię kołem tak dobrze jak ja”. A potem jakaś pogardliwa ręka rzuca mi talary. Nigdy nikt nie podaje mi ich do skrwawionej dłoni, podnoszę je z ziemi.

Dlatego nie mogę mieszkać wewnątrz murów Sachsenburga. Nie mogę nazywać się nawet sachsenburskim obywatelem, nie mogę nim być, ponieważ nie jestem człowiekiem.

Jako miejski kat miałem też jeszcze inne obowiązki, tradycyjnie mi przypadające. Prowadziłem miejski zamtuż, zgodnie z odwiecznym zwyczajem. Oczywiście kurwienie się jest niemoralne, to obraza Boska. Jednak trudno zaprzeczyć, że jest to instytucja potrzebna. Rzecz ma się podobnie jak ze szpiegowaniem – nie da się być uczciwym szpiegiem, tak jak nie da się być uczciwą kurwą, jednak bez szpiegów cesarstwo byłoby ślepe.

Gdy ktoś pytał, do czego Sachsenburgowi potrzebne dziwki w zamtużu, wskazywałem na przykład niedalekiego Glöckenstein. W przeciwieństwie do naszego miasta, które nie przyjęło reformacji, w Glöckenstein mieszkają sami luteranie. Ich wiara nie mogła znieść tego, że w mieście mieszkają kurwy – i wygnano ladacznice precz. Oczywiście wszyscy mieszkańcy popierali tę decyzję – kobiety szczerze, mężczyźni zaś z trudem ukrywali żal. Niewczesna była radość kobiet... Mężczyźni, którzy z różnych powodów nie czerpali satysfakcji z miłości małżeńskiej, nie mogąc udać się do burdelu, szukali zadowolenia gdzie indziej. Zaczęli uwodzić – zaś brzuchate panny były z Glöckenstein wyganiane na tułaczkę. Niektóre przyjmowały hańbę i uciekały z miasta. Inne szły do znachorki, aby spędziła dziecko. Czasem umierały od tych kuracji, czasem żyły, oficjalnie niewinne, lecz przygniecione ciężarem najgorszej z kobiecych win – dzieciobójstwa. Inni uwodzili mężatki – padło kilka trupów, gdy obdarzony rogami mąż zastał swą połowicę z gachem. Wreszcie zaczęły się gwałty.

I w ten sposób moralisci wyrządzili tyle zła. Ktoś powie – niepowodzenia małżeńskie lub brak żony to krzyż, z którym trzeba się pogodzić i w ostateczności żyć w celibacie. Zgoda

– tak trzeba, tak powinno się czynić. Dzięki Bogu, że obdarzył mnie dobrą żoną i nigdy nie musiałem korzystać z towaru, którym handluję.

Ja jednak, jako kat, dostrzegam pewną prostą prawdę, której nie widzą przepełnieni zacnymi ideami moralisci. Ludzie są źli. Ludzie są źli z natury. Nie czynią tak, jak powinni. I z tym trzeba się liczyć. To przykry fakt, ale nie sposób go zmienić, tak jak nie sposób powstrzymać powodzi dłonią.

Dlatego staję czasem na szafocie w czerwonym kapturze i stoję tam, wsparty na mieczu. Aby przypomnieć wszystkim o karze. I dlatego również prowadzę burdel. Z zasady nie dostrzegam, kto odwiedza mój zamtuż. Nie dostrzegam również, gdy gość z sobotniej nocy w niedzielę rano na mszy przystępuje do komunii. Nie moja rzecz. Lepiej, by ów człowiek cudzołożył z ladaczną, popełniając grzech, niżby miał cudzołożyć z porządnymi kobietami, przez swój grzech wyrządzając więcej zła – rozbijając rodziny, doprowadzając dziewczęta do mordowania nienarodzonych dzieci czy gwałcąc uczciwą kobietę. Jako kat jestem człowiekiem praktycznym, nie interesują mnie teorie ulepszania świata bądź czynienia ludzi lepszymi. Moim zadaniem jest utrzymywanie zła w ryzach.

Czasem komuś przez podwórkę cieknie rynsztok. To przykre, bo ściek cuchnie. Jednak cuchnie umiarkowanie, bo jest dobrze ocembrowany i nie rozlewa się na całe podwórze. Wtedy przychodzi młodzieniec, którego smród szczerze mierzi, i postanawia, że rynsztok będzie ciekł teraz podziemnym kanałem. Nie słuchając protestujących mieszkańców, rozkopuje całe podwórkę. Kanału nigdy nie udaje mu się zbudować, zaś rynsztok rozlewa się, cuchnie po stokroć gorzej niż śmierdział wcześniej. Wlewa się do domu, oblepia łajnem buty, zamienia życie, poprzednio tylko nieco uciążliwe, w piekło.

Nie interesują mnie teorie ulepszania rynsztoka. Dbam tylko o ten, który już jest. I nie będę potrafił pomóc, gdy ktoś zniszczy cembrowinę i ścieki zaleją dom. A właśnie ktoś taki przyjechał pół roku temu do Sachsenburga.

Gdy wysiadłem z mojego dylizansu na rynku Sachsenburga, wiedziałem, że znalazłem się we właściwym miejscu. Nawet przez szyby powozu mogłem zauważyć, ile jest tu do zrobienia. Mieliśmy piąty rok rewolucji, a tymczasem ulice miasteczka wyglądały, jakby ktoś wyciągnął je z lat okrutnego panowania Marii Teresy. Kobiety w czepkach, odziane jak dewotki. Kościół przystrojony – jakieś święto klechy urządziły, psiakrew! Na ratuszu, owszem, powiewała flaga Republiki – wielkości chustki do nosa. A nikomu nie chciało się skuć cesarskiego orła z fasady! Burmistrz miasta w pończochach – a u nas według rewolucyjnej mody ubierają się już nawet rojaliści. Pod miastem – dom kata. I wszystko wskazuje na to, że ciągle mieszka w nim kat... Na rynku pręgierz, to okropne narzędzie poniżenia, używane przez klasę panującą do upodlenia ludzi pracy.

Wziąłem się więc do roboty. Stolica nadała prowincji to, czego ta nie posiadała wcześniej – rozumną organizację. W czasach cesarstwa panował tam absolutny chaos prawno-administracyjny. Nie idzie tutaj o brak unormowań, lecz o ich nieuporządkowanie. Przeróżne przepisy, przywileje, prawa nawarstwiały się przez stulecia, rosnąc w różnych państwach, nadawane przez różnych monarchów... Jedno miasto było wolne, inne płaciło trybut księciu, ale posiadało cesarski przywilej pędzenia wina. W sąsiednich wioskach obowiązywały inne miary – łokieć tutaj to dwanaście cali, a tam siedemnaście i pół. Gdy obok siebie mieszkali Sasi i Węgrzy, sprawa komplikowała się jeszcze bardziej. Tymczasem Republika musi być zorganizowana w zgodzie z Rozumem, nie zaś z historycznymi normami.

Zniesiono odrębności ziem Cesarstwa. Po cóż nam te wszystkie królestwa Czech, Węgier, księstwa, hrabstwa, wolne miasta? Przecież i tak jesteśmy jednym państwem, musimy zatem być jednym narodem! Jest więc jedna Republika. Cesarz był cesarzem

rzymskim narodu niemieckiego, królem czeskim, węgierskim, wielkim księciem takim, księciem takim i tak dalej. Tymczasem Generalny Komisarz Republiki jest jeden! Podzielili mądrzy ludzie kraj na prowincje, prowincje zaś na powiaty. Ot, i cała filozofia. Aby nie pielęgnować zaszłych, partykularnych rozbieżności, celowo starano się nie zachowywać dawnych granic. Nie ma już Czecha, Madziara, Niemca, Polaka, Żyda czy Rusina – wszyscy jesteśmy przecież przede wszystkim Obywatelami. Językiem cesarstwa jest niemczyzna i jej mają używać obywatele. Nie oznacza to jednak przewagi żywiołu niemieckiego, lecz wynika z praktyki, jako że niemiecki jest językiem najbardziej światłej warstwy naszego społeczeństwa, z której postęp promieniuje na inne.

Wziąłem się więc do pracy. Jeszcze pierwszego dnia nakazałem usunąć z dachu ratusza krzyż. Burmistrzowi dałem dobę na wyniesienie się z biura. Wystraszył się, gdy machnąłem mu przed nosem moim komisarzkim upoważnieniem. Następnego dnia wprowadziłem się do ratusza. Postanowiłem odciąć się od przeszłości. Nie przeglądałem więc archiwów, nie czytałem miejskich urbarzy – cóż obchodzi mnie, ile talarów od księżego chmielnika płaci wdowa Billau? Postanowiłem również, że każdy z mieszkańców Sachsenburga zaczyna nowy, rewolucyjny rozdział swojego życia z czystą kartą. Nawet elementy w oczywisty sposób kontrrewolucyjne, jak miejscowy proboszcz, najbogatsi rolnicy czy mistrzowie cechów. Natomiast ci, którzy do tej pory byli dyskryminowani, powinni teraz zostać wynagrodzeni. Na nich właśnie oprze się moja władza – na tych, których do tej pory z pogardą zwano motłochem. Na biedakach, pijakach, żebrakach, służbie. Na Cyganach i Żydach, którymi okrutnie się tutaj pomiata.

Trzeciego dnia zwołałem mieszkańców na Rynek. Przybyli tłumnie. Czasem charakterystyczne dla Sasów posłuszeństwo władzy było przydatne. Ogłosiłem wtedy najważniejsze sprawy. Zniesienie kary śmierci, rozdział religii od państwa. Pierwszy punkt zrozumieli od razu, drugi dopiero, gdy z wysokości mojego balkonu nakazałem proboszczowi zdjąć sutannę albo wynieść się z placu. To jest zgromadzenie wolnych obywateli – powiedziałem – i może przebywać tutaj jako wolny obywatel, ale nie jako sługa wrogiej naszemu państwu organizacji. Między ludźmi odezwał się wrogi pomruk. Spodziewałem się tego.

Oto jakie spustoszenia tysiąc lat cesarstwa wyrządziło wśród tego ludu! Są jak więźniowie, którzy urodzili się w celi – kochają swoje kajdany i kraty. Gdy bojownik wolności wdziera się do ich więzienia i chce ich wyzwolić, protestują! Płaczą do swych cel, do swoich okowów! Nasz lud pogrążony jest w obłędzie i trzeba leczyć go tak, jak leczy się obłąkanych. Aby zapewnić im prawdziwą wolność, czasem trzeba zgwałcić ich wolę.

Czyż to nie paradoks? Zgwałcić wolność w obronie jej dziewictwa... Ale tego właśnie trzeba, gdyż wolność musi być właściwa, by była wolnością rzeczywistą.

Kata, jak się później dowiedziałem, nie było na Rynku. Wiedząc, że mieszczenie swoich katów nienawidzą, sądziłem naiwnie, że uda się pozyskać go dla sprawy. Kazałem więc sprowadzić kata do ratusza. Przyszedł. I znowu – rozmawiałem z nim jak z równym sobie, a on czuł się tym wyraźnie dotknięty. Toż owi sachsenburczycy są jak rusińskie kobiety (jak mawiał mój ojczulek) – lubią, gdy się ich bije.

Mój ojciec miał kiedyś ruską kochankę – traktował ją gorzej niż psa, tłukł, gdy był pijany, gdy odwiedzali go kompani, zapraszał ją do stołu, by razem mogli stroić z niej żarty. Wziął sobie tę dziewczynę ze wsi i trzymał na dworze – sprowadzał inne flamy, a tej kazał się obsługiwać. Nigdy nie zwrócił się do niej dobrym, miękkim słowem, poniżał zaś przy każdej okazji. Kiedyś widziałem, jak wrócił urzędujący, wysikał się do nocnika i całą zawartość wylał na Sonię, rycząc ze śmiechu. W końcu się nią znudził i wyrzucił z dworu na ulicę. A ona go ciągle kochała, całym sercem. Jak wcześniej nie reagowała nijak na wszystkie obelgi. Żebrała na ulicy – kiedyś znalazła mojego ojca w rynsztoku, pijanego w sztok. To był styczeń – ojciec zdechłby z zimna w dwie godziny. Sonia dociągnęła go do domu, umyła i położyła do łóżka.

Kochała bezwarunkowo. Wtedy nie wytrzymałem, dałem jej pięć talarów i kazałem uciekać. Nie chciała – sprowadziłem powóz i prawie przemocą doń wsadziłem, zaś woźnicy kazałem zawieźć ją z powrotem do rodzinnej wsi.

Tak samo miejscowy kat. Ludzie chowają przed nim dzieci, spluwają na jego widok. Nikt nie podaje mu ręki. A przecież to nie on skazuje na karę śmierci, nie on ją wymyślił! Jakież męki musi przeżywać, gdy zabija ludzi. Ja zaś chciałem pomóc – podałem mu rękę, on zaś ją odrzucił. Na moje pytania odpowiadał pokornie, acz stanowczo. Jak najuniżeniej odrzucił wszystkie moje propozycje. Zostawiłem go więc w spokoju. Jak się później okazało – niesłusznie.

Uderzyłem z innej strony. Moim ludziom, którzy przyjechali ze mną jeszcze z Wiednia, nakazałem rozgłosić na ulicach, że nowy burmistrz ma świetne posady dla biedaków. Następnego dnia rana miałem na rynku osiemdziesięciu miejskich obiboków, pijaków, biednych czeladników i uczniów – świetny materiał na rewolucjonistów. Porozmawiałem ze wszystkimi, dzięki czemu udało mi się wyłowić najinteligentniejszych. Następnie wszyscy otrzymali po talarze. Mądrali zaprosiłem do ratusza – tam w prostych słowach wytłumaczyłem, kto jest winny ich niepowodzeń i biedy. Po godzinnym wykładzie kazałem przekazać to swoim towarzyszom, którym od tej pory będą przewodzić. Słuchałem potem, jak opowiadali. Czemu patrycjusze są bogaci? Taki mistrz cechu kuśnierzy nawet przecież nie bierze w ręce igły. Bogacą się na pracy biedaków, nie płacąc im odpowiedniej ceny. Tak samo ksiądz. Biedny to on nie jest! A widział go kto kiedyś przy prawdziwej pracy? Uznałem, że nie czas jeszcze na przekonywanie sachsenburczyków, że Boga nie ma – wystarczy na początek podsyć naturalny anty-klerykalizm, by potem łatwo nienawiść do księży zamienić w nienawiść do Boga. A moi nowo pozyskani rewolucjoniści tłumaczyli ludowi: teraz jest rewolucja i bogacze odpowiedzą za setki lat ucisku! Na początek każdy biedak dostanie od towarzysza – udało mi się wyperswadować im „pana burmistrza”, jak również „jego ekscelencję”, „jaśnie pana” – talony na jedzenie i ubranie, które będzie mógł zamienić na określone towary w każdym sklepie. Kto by odmówił realizacji talonów, zostanie postawiony przed sądem doraźnym i wywłaszczony!

I dalej już wszystko zaczęło toczyć się samo. Gdy mój zaczyn rewolucji w mieście Sachsenburg odkrył, jaką posiada władzę, jął naprawdę realizować rewolucyjną sprawiedliwość. Jednego nie chciałem – eskalacji przemocy. Jeżeli jakiś bogacz dostanie po pysku albo straci kilka zębów, nic się nie stanie. Jednak żadnych trupów. Oczywiście, mogli się bronić – dwóch mieszczan zginęło, ale do siebie mogą tylko mieć pretensje, skoro majątek cenili bardziej niż życie. Zakazałem noszenia broni palnej, nawet moim gwardzistom. Z tego nie ma nic dobrego. Cała broń w posiadaniu mieszczan ulega konfiskacie. Nawet posłuchali – dobra, cesarska szkoła. Przynieśli mi do ratusza kilka fuzji i parę pistoletów. Więcej pukawek pewnie w mieście nie było.

W Sachsenburgu Rewolucja rządziła niepodzielnie. Po paru tygodniach udało mi się nawet wyperswadować moim rewolucjonistom uczęszczanie na msze. Zamiast tego zbierali od idących na mszę dobrowolne datki na szkołę państwową. Oczywiście kto nie płacił, dostawał w pysk. W innych wypadkach przymykałem oczy, gdy chłopcy zabrali coś dla siebie. W końcu należało im się za te wszystkie lata okrutnych szykan. W przypadku szkoły jednak wymogłem, aby każdy szyling z kwesty trafił do miejskiej kasy. I dzięki temu w drugim miesiącu moich rządów zorganizowałem świecką szkołę dla dzieci. Gdy zabrzmiał pierwszy dzwonek, oficjalnie zamknąłem szkółkę parafialną. W mojej szkole nie było katechezy, była za to nauka rewolucji. Maluchy dowiadywały się, kim są, w jakim świecie żyją. Sam uczyłem w tej szkole. Opowiadałem dzieciakom, że nie ma żadnego Boga, że księży to oszuści i tym podobne. A dzieci zanosily to do domu. Liczyłem, że posieją tam ziarno postępu, jednak gleba nie była dość urodzajna i regularnie do szkoły przychodziły tylko latorośle moich rewolucjonistów. Wprowadziłem więc przymus edukacyjny. Straż

Obywatelska (tak nazwałem moich gwardzistów) chodziła od domu do domu i przyprowadzała dzieci do szkoły. Trwało to co prawda do późnego popołudnia, ale dało im nauczki.

Nadszedł również czas na wolność gospodarczą. Kilka rodzin zostało wywłaszczonych i wygnanych za działalność kontrewolucyjną – ich kamienice stały puste, opieczętowałem je osobiście. Wysłałem ludzi na poszukiwania i po trzech tygodniach miałem w Sachsenburgu trzech wołoskich kuśnierzy i dwie rodziny szeklerskie – ślusarzy i rzeźników. Byli dużo tańsi od mistrzów należących do cechu. Teraz czekałem – nie chciałem, by represje wyszły z mojej strony, więc pozwoliłem im zacząć. Nie musiałem długo czekać – ludzie nie kojarzyli przybyszy ze mną, więc robili u nich zakupy. Cechy nie mogły tego ścierpieć. Po tygodniu wybito wszystkie szyby u rzeźnika, zaś u kuśnierza włamano się do warsztatu i zniszczono futra, oblewając je cuchnącą substancją. Więcej nie było trzeba. Aresztowałem mistrzów obu cechów, zawieszając działalność organizacji. Trzeci cech, ślusarzy-zegarmistrzów, zachował się inteligentniej i przechytrył mnie, przyznając. Zamiast bojkotować Szeklera, przyjęli go w nadzwyczajnym trybie do swojego cechu, nadając mu od razu rangę mistrza. Na gwałt trzeba było majstersztyku – Szekler przyniósł więc skrzynię, za którą w normalnych warunkach uczeń nie zostałby czeladnikiem. Teraz jednak wystarczyła. Doceniłem taktyczne zdolności i ślusarzy nie ruszałem.

Rozpocząłem też reformy systemu sprawiedliwości. Najpierw stary, klasowy sąd zastąpiłem Sachsenburskim Ludowym Sądem Rewolucyjnym. Stary sędzia pozostał przy nim jako doradca proceduralny, jednak skład orzekający stanowiła proporcjonalna reprezentacja ludu. I tak każdy wyrok musiał być uzgodniony ze mną (Dekret z roku I rewolucji, O konsultacjach w sądach rewolucyjnych, dla lepszego współdziałania ramienia sądowniczego i wykonawczego władzy, podpisane Maxymillian Kleiderpeter). Sędziami zostało czterech plebejuszy – rewolucjonistów, trzech przedstawicieli pospólstwa (z których jeden, czeladnik-pijak, był szczerym zwolennikiem nowych czasów) i jeden patrycjusz.

Do zwyczaju przeszły już cotygodniowe odezwy, jakie wygłaszałem do ludu z balkonu mojego ratusza, obecność obowiązkowa. Na kolejnej przemowie poruszyłem problem winy i kary. Ludu pracujący Sachsenburga, złodziej nie kradnie dlatego, że jest zły, złodziej kradnie, bo zły jest system społeczny, który zmusza go do kradzieży! Zaprosiłem na balkon jednego z moich rewolucjonistów, który był kiedyś złodziejem, aby opowiedział o swoim życiu. Powiedział to, co mu napisałem. Ludzie wzruszali ramionami, gdy mówiłem, że nie będzie już kar, będzie zaś resocjalizacja. W Sachsenburgu obowiązywało prawo magdeburskie – jeszcze niedawno kradzież karano obcięciem ucha bądź dłoni. Zrozumieli, co mam na myśli, gdy powiedziałem, że odpowiednią represją dla drobnego złodziejaszka będzie obowiązkowa obecność na serii pogadanek. Wcale im się to nie spodobało. Powiedziałem więc – większość z was nigdy nie była głodna. Większość z was nigdy nie stała przed tragiczną koniecznością nakarmienia piątki dzieci, podczas gdy sakiewka jest pusta. Odziedziczyliście swe majątki po rodzicach, podczas gdy ten biedny człowiek nie dostał od życia niczego. Łatwo wam osądzać, tłuste łotry! Odciać rękę człowiekowi, który wyciągnął ją po bochenek chleba, na który nie mógł zarobić, bo żaden z was nie chciał dać mu pracy!

Ludzie milczeli, zaś wśród mojej rewolucyjnej elity podniósł się szmer uznania. Wiem ja, jak was połechtać, chłopcy! Kata uczyniłem odpowiedzialnym za wygłaszanie umoralniających pogadanek, według wzorów, które sporządziłem.

Zbliżał się dzień Bożego Ciała. Ten moment uznałem za właściwy, aby uderzyć w religię. Byłem twardy, wiedziałem, że – aby unowocześnić społeczeństwo – rządzący musi wykazać się twardością, zdecydowaniem i stanowczością. Trzy tygodnie przed świętem rozwiesiłem w mieście obwieszczenia o nowych prawach. Między kilkoma nieistotnymi punktami umieściłem paragraf o zgromadzeniach w miejscach publicznych. Na każde zgromadzenie należy otrzymać pozwolenie od burmistrza. Ksiądz zrozumiał, o co chodzi –

następnego dnia chłopiec przyniósł mi podanie o zezwolenie na odbycie procesji w dzień Bożego Ciała. Proboszczowi nie chciało się nawet pofatygować osobiście! Oczywiście odmówiłem. Na odmowie podałem szczegółowe uzasadnienie (ostateczna decyzja pozostaje w gestii władz administracyjnych i nie poddaje się uzasadnieniu). Podałem oczywiście drogę odwoławczą – następną instancją był Sachsenburski Ludowy Sąd Rewolucyjny. Proboszcz się odwołał, odwołanie odrzucono. Ostateczną instancją jest Najwyższy Administracyjny Sąd Republiki, do którego można wnieść skargę. Oczekiwanie na rozpatrzenie skargi trwa najczęściej około czterech lat. Proboszczyna dał sobie spokój. Byłem zaskoczony, nie sądziłem, że tak łatwo się podda.

Jeszcze bardziej zdziwiłem się, gdy w Boże Ciało na ulice Sachsenburga wyległa procesja. Zlekceważono mój wyraźny zakaz! Postanowiłem uwięzić klechę, rozgonić dewotów moją Strażą Obywatelską. I tutaj właśnie popełniłem błąd.

Pozwoliłem na porównanie sił. Nagle okazało się, że strażników jest kilkudziesięciu, zaś wśród wiernych na procesji jest kilkuset dorosłych, silnych mężczyzn. Muszę przyznać, że kontrrewolucjoniści nie byli zupełnie zamknięci na zmiany. Zamiast sypiących kwiatki dziewcząt procesję otwierała grupa stu najroślejszych i najsilniejszych kawalerów, zbrojnych w pałki, łańcuchy i noże. Nie było już czasu, by moim strażnikom wydać broń palną.

Leżę na deskach tej piekielnej maszyny. Stary Nicolae poprawia jeszcze dyby. Ułożył mnie na plecach, bym widział spadający nóż. Gdzie popełniłem błąd? Sądzę, że w mojej głębokiej młodości, gdy podróżowałem po Europie w czeladniczej wędrowce. Najdłużej terminowałem w Königsbergu, gdzie spotkałem Sabaudczyka, Josepha de Maistre. Był attache do spraw handlowych – oddelegowano go na dwór pruski, by tam pilnował interesów swojego kraju. Pan de Maistre z przedziwnych powodów nie brzydził się przebywaniem w moim towarzystwie. Wtedy właśnie popełniłem błąd. Kat nie jest stworzony do tego, by rozmawiał ze szlachetnie urodzonymi. Może ścinać im głowy, ale nie jest godny, by z nimi dyskutować. Pan de Maistre zdawał się tego nie dostrzegać, a ja byłem zbyt młody i głupi, by o tym wiedzieć. Towarzyszył nam często w tych rozmowach student königsbergskiego uniwersytetu, Sadentzky, Polak, który później wyjechał do Szwecji. W czasie dwóch lat, spędzonych w tym prowincjonalnym, pruskim mieście, z prostego, głupiego chłopaka z Siedmiogrodu, stałem się pierwszym chyba katem – uczonym. Czytałem filozofów i Ojców Kościoła, a kat nie powinien ich czytać. Pan de Maistre objął na uniwersytecie katedrę, wcześniej prowadzoną przez profesora o nazwisku Kant, który jednak zdał się królowi pruskiemu zbyt wywrotowy i został zmuszony do emigracji. De Maistre zresztą również szybko stracił swą katedrę, gdy tylko zorientowano się, że uprawia katolicką propagandę.

Mój błąd może znajdować się w dwóch miejscach – może popełniłem go, dbając o swoją edukację, która zapewniła mi wzrok, podczas gdy kat powinien raczej być ślepy, jak Sprawiedliwość. Możliwe, że wykształcenie nie zaszkodziłoby mi, gdybym miał więcej pokory. Jednak zdawało mi się, że zrozumiałem świat i moją w nim rolę. Nie było we mnie potrzeby buntu – sądziłem, że żyję w najlepszym ze społeczeństw i że wypełniam w nim ważką rolę. I miałem rację. Jednak aby poznać ludzkie społeczeństwo, trzeba stanąć poza nim. Zachowałem się jak dzwonnik z kościelnej wieży, który powinien jedynie oliwić mechanizmy kościelnego zegara, nie próbować zaś zrozumieć jego konstrukcji. Ja zaś zacząłem analizować zasadę działania trybów i przekładek – i w niewłaściwym momencie wsadziłem rękę w złe miejsce i przeskakująca zębatka ucięła mi palce. Nie powinienem był rozmawiać z panem de Maistre.

Gdy do Sachsenburga przybył ten zarozumiały młokos i zaczął niszczyć nasze miasto, od razu wiedziałem, że to się dobrze nie skończy. Na początku jeszcze trzymałem się z daleka

i wykonywałem jego polecenia, nawet te najbardziej idiotyczne. Z bólem patrzyłem, co wyczyniają obiboki, z których zrobił swoją gwardię. Ale nie reagowałem – nie moja to rzecz, ja jestem tylko katem. Wygłaszałem do więźniów idiotyczne pogadanki, które sam chyba pisał – nieporadne, pełne błędów logicznych i, o zgrozo, ortograficznych.

A potem miara się przebrała i głupiec zabronił procesji w Boże Ciało. Nigdy nie brałem udziału w tym pochodzie, nie jestem godny. Wrzało we mnie, bo wiedziałem, jak ważna jest dla sachsenburczyków, jednak nic nie mówiłem. Na tydzień przed świętem, późnym wieczorem, ktoś zapukał do drzwi mojego domu. Otworzyłem i zdębiałem. W drzwiach domu kata stał sam ksiądz proboszcz. Od razu zrozumiałem, że gdy ksiądz odwiedza dom kata, to wszystko stoi na głowie. Ale przecież nie wypadało mi go wyprosić, chociaż czułem, że ksiądz kala swoją świętą osobę, przebywając w moich progach i rozmawiając ze mną. Jednak kapłan nie okazywał mi tego za grosz. Kazałem wyjść całej rodzinie, nakryłem stół czystym obrusem i poczęstowałem księdza najlepszym winem, jakie miałem. Spodziewałem się, że nie zechce pić z katem! Jednak nie odmówił.

Rozmawialiśmy długo, zaś ksiądz okazał się wiedzieć wiele więcej, niż myślałem. Wiedział, że nieoficjalnie studiowałem w Prusach. Wiedział, że nie jestem już prostym człowiekiem. Sam proboszcz skończył uniwersytet w Paryżu i opowiadał mi, jak na początku cierpiał, gdy posłano go do prowincjonalnego miasteczka, gdzie najinteligentniejszy człowiek posiadał w domu trzy książki – Biblię, kiepskie poezje Schleiermachera i wielką księgę ziół. Później zrozumiał ksiądz dobrodziej, że taki jego krzyż. Gdy dowiedział się o mojej edukacji, miał wielką chęć ze mną porozmawiać, jednak obawiał się (słusznie!), co na to powiedzą parafianie. Teraz i tak już wszystko upada, więc nie ma nic do stracenia. Trzeba się przeciwstawić temu szaleńcowi z ratusza, zanim zniszczy Sachsenburg! I nikt inny, tylko ja mogę to zorganizować. On, proboszcz, powiedział już o tym ludziom. Mocą swojego kapłańskiego autorytetu stanie za mną.

Rozmyślałem nad tym chwilę i stwierdziłem, że w takiej sytuacji to raczej kapłan Chrystusowego Kościoła reprezentuje prawdziwą władzę, zaś ów rewolucjonista jest reprezentantem chaosu. Zgodziłem się. Dostałem od księdza ubranie bez oznak mojej katowskiej profesji i płaszcz z kapturem. Następny tydzień poświęciłem na wizyty u mieszczan. Nie chciałem niszczyć dystansu, jaki nas dzielił. Nie przekraczałem progu, prosiłem, by wyszli przed dom, i rozmawiałem z nimi na dworze. Byli wyraźnie wdzięczni, że nie muszą gościć kata. Nie chciałem być obecny na procesji, by nie obrażać niesionej w monstrancji Hostii swoją plugawą obecnością.

Proboszcz, rozumiejąc moje racje, stwierdził, że większą obrazą dla Ciała Chrystusa będzie zbezczeszczenie przez motłoch niż obecność jednego uczciwego człowieka, obojętnie jakiej profesji. Uzgodniliśmy, że będę pomiędzy ochraniającymi procesję młodzieńcami, póki nie zapewnimy bezpiecznego przejścia, nie wejdem jednak do kościoła.

Głupiec z ratusza wysłał przeciwko nam swoich strażników. Sądził, że ludzie przestraszą się ich tak, jak bali się do tej pory, jednak srodze się zawiedli. Nie na darmo spędziłem tydzień na rozmowach z ludźmi.

Rośli chłopcy, dobrze odżywieni synowie porządnych rodzin, zbrojni w pały, łańcuchy i noże, rolnicy o potężnych karkach – a ze mnie w końcu też nie ułomek. Dość powiedzieć, że spraliśmy rewolucyjnych łapserdaków na kwaśne jabłko. Nie chciałem tego, lecz nie dało się uniknąć ofiar – po ich stronie padło sześć trupów, po naszej dwa. Bardzo rozsierdziło to moich bojowników, lecz zdołałem nie dopuścić do samosądu. W zanadrzu było jeszcze piętnastu strzelców, wyposażonych w pożyczone od Madziarów fuzje, jednak nie trzeba było ich użyć. Procesja poszła dalej, tymczasem ja wraz z trzydziestoma ludźmi pobiegłem do ratusza. Złapaliśmy sprawcę całego zamieszania w stajni – siodłał już konia. Zdołałby uciec, gdyby nie próbował pakować swojej biblioteki. Wsadziliśmy drania do celi. Do ratusza uroczyście sprowadzono starego burmistrza. Na następny dzień wyznaczono

rozprawę nad komisarzem. Rozmawiałem jeszcze o tym z księdzem – z całego serca doradzałem mu, by skazać łajdaka na więzienie, najlepiej za jakieś pospolite przestępstwo i potrzymać kilka lat. Dwa pozostałe rozwiązania są fatalne – zarówno wygnanie, jak i śmierć. Gdy zostanie wygnany, wróci tutaj ze sporą siłą. Jeżeli go zabijemy – stolica nam tego nie wybaczy. Może ich nie interesować Sachsenburg, jednak ścinania swoich urzędników nie tolerują. Niestety, nie posłuchano mnie.

Zgubiła mnie moja miłość do książek. Zarówno pośrednio, jak i w sposób najprostszy. Pośrednio – gdyż sądziłem, że w każdym człowieku drzemie ukryte nawet pragnienie wolności. Wyczytałem to u moich mistrzów. W sposób najprostszy – bo nie mogłem zdobyć się na porzucenie mojej biblioteki. Wiedziałem, że nie wezmę ze sobą wszystkiego – ale przynajmniej kilka najważniejszych, najdroższych memu sercu książek, tyle, ile zmieści się do podręcznego sakwojażu. I dramat wyboru! Czuję się jak matka, która spośród swych dzieci, skazanych na zagładę, wybrać może jedno, aby je ocalić. Czas upływał, a ja kładłem książki do sakwy, przekładałem, wyciągałem, wkładałem z powrotem. Otrzeźwienie przyszło dopiero wtedy, gdy na dziedzińcu zatupały buty. Zerknąłem przez okno – już są! Chwyciłem sakwę, nie martwiąc się już zawartością, i zbiegłem do stajni. Koń był osiodłany. Wskoczyłem w siodło i jak wicher pogałem ku wrotom. Gdy pochylony mijałem framugi, mocarna ręka kata schwyciła uzdę konia, osadzając mojego rumaka w miejscu. Zwaliłem się z siodła na bruk. Związano mnie i wrzucono do celi. Nie chcieli chyba więcej przestrzegać moich wytycznych karania przestępców. Nie spodziewałem się resocjalizacji, lecz kary.

Następnego dnia – jakże niedawno to było, tydzień temu – odbył się sąd. A raczej jego parodia. Sądziłem, że osadzą mnie w więzieniu. Sam się broniłem i tak właśnie starałem się kierować sprawą, wskazując na straszne konsekwencje, jakie miasto poniesie, gdybym skazany został na karę najwyższą. Na wygnanie, które byłoby dla mnie najlepsze, nie liczyłem – aż tak głupi nie byli. Lubili, gdy kara była dotkliwa, a zdawali sobie chyba sprawę, że dla światowego człowieka wygnanie z Sachsenburga waloru dotkliwości nie posiada wcale.

Oskarżyciel, stary burmistrz, na samym końcu rozprawy wskazał na ludzi, którzy ponieśli śmierć, rzekomo za moją sprawą. Kilku mieszczan zabili moi rewolucjoniści – owszem, ale jednak to oni bronili się przed rozjuszonymi burżujami, którzy nie chcieli poddać się rekwizycjom. A już oskarżenie mnie o śmierć młodzieńców broniących procesji zakrawa na absurd. Nie trwała ta groteska dłużej niż cztery godziny. W końcu sędziowie wrócili, wszyscy powstali, a główny sędzia rzekł, że Herman Alexander Grüner vel Zieleniecky skazany jest na śmierć. Zadrzałem i to drżenie nie opuszcza mnie od tamtej chwili aż do teraz. Tydzień spędziłem w celi, patrząc, jak budują szafot, na którym będę ścięty. Cały czas łudziłem się – może jednak do tego nie dojdzie... Może ktoś się dowie, przyśle żołnierzy... Ale takie cudowne *deus ex machina* zdarzają się tylko w książkach. Rano odziali mnie w śmiertelną koszulę. Włosy mam krótkie, więc nie musieli ich obcinać. A teraz...

Już jestem blisko. Tłum krzyczy z radości, gdy schodzę z wozu – precz, klecho, nie podawaj mi dłoni. Złorzeczę mu. Błuznię Bogu, jak umiem najpodlej. Patrzcie, skurwysyny, jak umiera rewolucjonista. Gdy patrzę w górę, odwaga mnie opuszcza. Przedemną schody szafotu. Na górze stoi on... Obnażony tors, kaptur. Na piersi ma tatuaż – anioł z płonącym mieczem. Drżą mi kolana, chcę uciec. Jestem bliski płaczu, zaraz rzucę się na ziemię i będę błagał o przebaczenie i prosił o darowanie życia. Zniszczę tym wszystko, co osiągnąłem, ale ja tak bardzo chcę żyć! Boże, Boże, pomóż mi! I teraz napotykam jego oczy. Oczy kata. On rozumie. Dodaje mi sił. Patrzy tak mądrze... Zwyciężam strach. Nie płaczę. Nie błagam. Jeszcze raz złorzeczę Bogu i moim wrogom. Spluwam w ich stronę i odważnie wstępuję po

stopniach. Staję przed nim. On delikatnie ujmuje moje związane ramiona i prowadzi mnie do pnia. Gdy jestem już blisko, miękko, acz stanowczo zmusza mnie, bym uklęknął. Przez głowę przebiega mi głupia myśl – w taki sam sposób na klęczki sprowadzałem dziwkę, gdy chciałem, by dogodziła mi ustami. Powoli kładzie moją głowę na pieńku. Jego dłonie prawie pieszczotliwie przesuwają się po mojej szyi. Widzę głównię miecza. Znowu ogarnia mnie przerażenie. Lecz jego ręka przytrzymuje mnie, gdy próbuję się zerwać. Puszczą mnie zaraz, a ja dalej czuję, jakby ścisnęły mnie żelazne kleszcze. Zamykam oczy. Słyszę, jak odstepuję na krok. Na placu zapada cisza. Zapewne wzniosł miecz. Ten szelest – czy to już ostrze tnie powietrze?

Nie posłuchali mnie i skazali go na śmierć. Znowu byłem katem i to nie był już moment, w którym mógłbym protestować. Przemknęła mi przez głowę myśl, że mógłbym umożliwić mu ucieczkę. Jednak zaraz się zmytygowałem – na Boga, kim ja jestem, by decydować o czyimś życiu! Jestem katem, nikim innym! Ścinam tych, których sąd skazuje na śmierć. Zbudowałem więc szafot. Siódmego dnia po procesie stanąłem na rusztowaniu, tak jak powinienem – obnażony do połowy, w kapturze, z dłońmi na główicy miecza. Stałem tak od rana, a ludzie drżeli przede mną. Potem go przywieziono. Zachowywał się bardzo odważnie. Złorzeczył Bogu i kapłanowi. Na pewno był konsekwentny i wierzył w swoje fałszywe przekonania. Może więc, na swój sposób, w obliczu śmierci zachował się godnie. Na moment zawahał się, zanim wstąpił na schody szafotu, ale potem jakby nowe siły weń wstąpiły i wszedł na podest. Chciał równości, lecz umierał jak szlachcic. Z pogardą spojrzął na zgromadzony lud, splunął w ich stronę. Poprowadziłem go do pnia. Na mnie również patrzył z pogardą, tak jak szlachcic powinien patrzeć na kata. Gdy położył już szyję, wzdrygnął się nagle, ale nie podniósł głowy. Zaiste, umierał godnie. Postanowiłem dać mu najlepsze cięcie, na jakie mnie stać. Kat wykonuje ten jeden ruch mieczem po tysiackroć w ciągu całego życia, rąbiąc gałęzie czy ułożone szczapy, by to cięcie, które naprawdę się liczy, było bezbłędne. Odstąpiłem na krok, wzniosłem miecz i jednym ciosem oddzieliłem głowę od tułowia. Tłum zafalował i ryknął, głowa spadła do podstawionego kosza.

Mam nadzieję, że ta maszyna tnie równie dobrze jak ja. Jednak dobrze postąpiłem, nie pozwalając żadnemu z siedmiu ludzi, których ściałem w życiu, patrzeć na nadlatujące ostrze. To straszna perspektywa. Dlaczego leżę na tych deskach?

Początkowo byłem pewien, że tak się to skończy. Z czasem jednak nabrałem nadziei, że może do tego nie dojdzie. I pewnie nie doszłoby, gdyby nie moja nieposkromiona pycha.

Stolica o całej sprawie dowiedziała się po sześciu tygodniach. Natychmiast przysłano nadzwyczajnego komisarza w asyście dwustu dragonów. Żołnierze zakwaterowali się w mieście, oczywiście na koszt mieszkańców, jednak nie dochodziło do nadużyć. Ich dowódca, komisarz, trzymał ich w ryzach. Był żołnierzem, pochodził z madziarskiej szlachty, wyglądał mi zresztą na arystokratę. Zwołał najznamienitszych obywateli i w sali ratusza, przy winie, opowiedział o swoich zamiarach. Opowiedział mi o tym później proboszcz, który od czasu pierwszej, pamiętnej wizyty, gościł u mnie co jakiś czas, przemykając się wieczorami przez furtkę w murze. Komisarz nazywał się Joachim von Egern – było to podobno znane nazwisko, jednak w Sachsenburgu przebywał incognito. Stwierdził, że nie zamierza wyciągać jakichkolwiek konsekwencji z wydarzenia sprzed miesiąca. Do stolicy pójdzie raport, że Alexander Grüner był pospolitym przestępcą i został słusznie ukarany. Jeżeli miasto zapłaci nałożoną nań kontrybucję, będzie regularnie płacić Republice podatki i nie mieszać się do polityki, on, komisarz von Egern, zachowa ustrój miasta, zapewni swobodę kultu, działalności cechów i w ogóle nie będzie się mieszał do wewnętrznych spraw Sachsenburga. Na zebraniach rady miejskiej będzie obecny, ale nie będzie nigdy zabierał głosu. Bardziej

interesowała go działająca od niedawna w pobliskich górach rojalistyczna partyzantka, dowodzona przez sławnego barona von Hesse.

Uczył, jak powiedział. I wszystko było po staremu. Spełniałem swoje codzienne obowiązki jak przystało. Jedyne, co zmieniło się w moim życiu, to „tajne” wizyty księdza proboszcza.

Po pół roku komisarzowi von Egern udało się dopaść i rozbić oddział barona von Hesse. Sam dowódca uszedł pościgowi, jednak oddział został zniszczony – w ręce von Egera wpadło kilkunastu jego ludzi. Z jakiegoś powodu ich nie rozstrzelał. Postanowił, że zostaną ścięci. Byłem w rozterce – żelazną zasadą kata jest słuchanie zwierzchności, ale z drugiej strony moją najwyższą zwierzchnością był cesarz, którego ludzie pokroju komisarza wygnali na tułaczkę. I miałbym ściąć tych, którzy jak ja pozostają lojalni wobec cesarza? Nie mogłem tego zrobić. Wahałem się tydzień. Nie było okazji poradzić się księdza.

Wtedy przywieziono maszynę, która miała posłużyć do ścięcia schwytanych partyzantów. Dziwaczny pomysł, by kata z mieczem zastąpić maszyną. Zamiast pieńka – dyby, w które wsadzano szyję skazanego. Zamiast miecza – wielkie, trójkątne ostrze, wciągane wysoko na rusztowanie z dwóch słupów. W słupach wyżłobiono prowadnice – gdy obsługujący maszynę technik (bo czy mógł on zwać się katem?) zwalniał zawleczkę, ostrze opadało i podobno czysto i zawsze bezbłędnie odcinało głowę. To przeważało moje wahania. Jestem katem! Maszyna do odcinania głów jest mi wstrętna, człowiek ginie w niej jak bydle w rzeźni. Gdzieś pomiędzy zapadkami i trybami czai się coś nieludzkiego. Ja ścinam mieczem. Każdy widzi i wie, kto ściął tego człowieka. Któż tymczasem ścina człowieka w tej maszynie? Czy ten, który wciągnął nóż? Czy ten, który zwolnił zawleczkę? Czy wreszcie nikt?

Poszedłem więc do komisarza von Egern i poprosiłem o zwolnienie ze służby. Chciałem skłamać i powiedzieć, że chcę opuścić Sachsenburg. Jednak szare oczy komisarza nie pozwoliły mi na to. Powiedziałem, że nie chcę ściąć tych ludzi, bo to szlachetni poddani cesarza, a tym bardziej nie uczynię tego przy użyciu tej diabelskiej maszyny. Komisarz von Egern popatrzył na mnie ze zdziwieniem, wzruszył ramionami, wezwał dwóch żołnierzy i zamknął mnie w lochu. Po godzinie dowiedziałem się, że zostanę ścięty razem z partyzantami jako buntownik. Mieszczanie dowiedzieli się o tej historii i zaczęli spełniać nieuciążliwe w końcu rozkazy komisarza jeszcze gorliwiej. Von Egern wziął pierwszego lepszego człowieka z ulicy – nawinął się akurat Wołoch Nicolae – nakazał zapłacić mu dwa talary i nauczyć, jak działa Maszyna Egzekucyjna.

I ten właśnie Nicolae przygotowuje się do ścięcia mojej szyi. Egzekucja nie odbywa się publicznie – maszynę wystawiono w sporej odległości od miasta, zabroniono mieszkańcom opuszczać murów w tym czasie. Na szczęście ksiądz zdążył mnie wypowiedzieć jeszcze w więzieniu. Ścinają mnie pierwszego.

Nicolae poprawił w końcu deski na mojej szyi. Trójkątny nóż wisi nade mną, zablokowany na dwóch zapadkach. Jest wyraźnie tępy i zardzewiały. Mam nadzieję, że wisi dość wysoko i jest wystarczająco ciężki, by odrąbać mój łeb za pierwszym razem. Panie, weź moją duszę do siebie. Ponoszę zasłużoną karę za moją pychę. Panie, wybacz tym, którzy mnie nienawidzą. Maryjo i święty Józefie, opiekujcie się moją rodziną. Ktoś daje komendę. Nicolae ciągnie za sznurek. Napinam mimowolnie wszystkie mięśnie, jednak nóż nie spada. Coś się zablokowało. Nicolae gorączkowo szarpie za sznur, nagle zapadki odskakują i nóż sunie ze zgrzytem. Uderza.

Żyję. Mam zgruchotane gardło, pęknięty kręgosłup, cały rzucam się w drgawkach. Ból jest przerażający, nie do zniesienia. Niechbym stracił przytomność. Słyszę krzyki. Wciągają nóż ponownie, jednak blokuje się wpół drogi. Ponoszę zasłużoną karę. Ktoś podchodzi, widzę tylko jego nogi. Ponoszę zasłużoną karę, Panie, ale zabierz mnie już do siebie, bo ten ból jest straszniejszy niż wszystkie męki. Ktoś krzyczy, widzę, jak Nicolae odchodzi od maszyny.

Ten, który stoi obok mnie, trzyma w dłoni szablę. Unosi ją.
Ten szelest – czy to już ostrze tnące powietrze?